Szyba — DamianMorfeusz

Jest rok 2143. Ziemia po zakończeniu III wojny światowej nie jest już bezpiecznym azylem dla ludzi, stała się łakomym kąskiem dla terrorystycznych band i ich totalitarnych zapędów.
W wyznaczonych wolnych strefach tli się jeszcze życie, jednak najważniejszym schronieniem stają się wahadłowce, dryfujące w przestrzeni kosmicznej. Nad nowym porządkiem czuwają "szybcy jak wiatr i przebiegli, jak lisy" komandosi, bohaterowie nowych czasów, przemierzający bezkresy kosmicznej przestrzeni, śledząc każdy ruch wroga.

- Spójrz! - Frogalis wskazywał palcem monitor komputera; na ekranie ulice miasta wyglądały jak świecące druty. Kapitan uśmiechał się.
- Gdzie? Co tam widzisz? - Porucznik Skrab mrużył oczy, pochylony nad pulpitem. Wzrok mu się pogarszał; czas lecieć do domu. Służbę kończył za tydzień; wtedy wrócą na Ziemię, do Strefy Dwudziestej Pierwszej.
- Tutaj. - Palec kapitana zatoczył okrąg nad jedną z linii. - Widzisz te czarne punkciki?
- Tak - skłamał Skrab. Jeny, jest coraz gorzej. Jeszcze kilka wylotów i nie będę widział, gdzie sikać - pomyślał.
- Ruszają się bardzo szybko, po chwili całkowicie nieruchomieją. Patrz! - krzyknął kapitan, gdy skupisko czarnych punkcików ruszyło po świecącej linii i zatrzymało się kilka kresek dalej. - Widzisz jak szybko? Przecież to Spidy.
Porucznik nie widział. Jasne kreski ulic rozmazywały mu się przed oczyma, a czarne punkciki, którymi emocjonował się Frogalis, dla niego nie istniały. Od miesiąca nie siadał przed komputerem; nie było sensu udawać. Od błyszczącego ekranu bolały go oczy. Dom, do domu - powtarzał w myślach, uśmiechając się smutno.
- Lecimy? - zapytał porucznik. Nie, proszę, nie - znał odpowiedź, ale może Kosmos wysłucha jego modlitw, i kapitan stwierdzi z westchnieniem: Nie, Skrab, nie możemy. To za daleko. Kończy się nasza zmiana, nie będziemy ryzykować. Wiesz, mam żonę i dzieci, chcę do nich wrócić za tydzień cały i zdrowy.
- Pewnie! Lecimy! - krzyknął kapitan i wydał ciąg poleceń głównemu pilotowi. Frogalis był rozwodnikiem, którego kontakty z dziećmi ograniczały się do kartek wysyłanych na urodziny. Nie spieszyło mu się do nikogo i do niczego.
Skrab pamiętał ich wspólne wyjście trzy wyloty wcześniej. Siedzieli w barze ich Strefy (Tchnienie Kosmosu - durna nazwa baru z takim piwem; bardziej pasowałoby: Szczyny Kosmosu), pili kiepskie piwo, zapijali okropnie rozcieńczonymi drinkami, które musieli doprawiać wyjmowanym po cichu z torby specyfikiem, i rozmawiali o życiu.
- Tam jest mój dom. - Frogalis skierował palec w sufit. W pierwszej chwili Skrab pomyślał o poddaszu nad barem; ledwo powstrzymał śmiech. - Statek jest moim domem.
Tak, pomyślał wtedy Skrab, dolewając do szklanki samogonu. Spędzałeś na statku zbyt wiele czasu, brałeś służbę za służbą, zapominając, że na Ziemi czeka żona i dwójka dzieci. Z czasem oni zapomnieli o tobie, a ciebie to nie obeszło. Miałeś kolejny wylot, kolejne miesiące w swoim kosmicznym domu.
- Czasem mi ich brakuje - westchnął Frogalis. - Wracam do pustego mieszkania, gdzie gadam do elektronicznego kota, który mimo wbudowanego systemu grzewczego nie jest dość ciepły; ma przeszczepione futro, które nie jest dość miękkie. Czasem mam ochotę wyskoczyć z okna i rozbić się o popękany asfalt. To wszystko gówno. - Popatrzył dokoła. - Ziemia zamiast stać się lepszą, zamieniła się w kupę gruzu i łajna.
- Nie sama, drogi przyjacielu, nie sama - mruknął Skrab, unosząc szklankę. - I nie tylko ona.

Frogalis pokiwał głową i dopił drinka. Skrab skrzywił się, sięgając po piwo. Coraz bardziej rozcieńczano alkohol. Czasem poważnie myślał, że ten smak rzeczywiście bierze się z moczu dodawanego do piwa. Brr! - wstrząsnęło nim, ale pił dalej. Sięgając po butelkę spirytusu domowej roboty, uśmiechnął się na myśl, że niektóre rzeczy pozostają bez zmian - w domach pędzono bimber, tylko sposoby i produkty były coraz wymyślniejsze.
Tamtego wieczoru przesadzili. Barman wyniósł ich na zewnątrz i zostawił na schodach. W środku nocy doszli do siebie na tyle, aby dotrzeć do blokowiska.
- Gdyby nie Szyba, byłby koniec - zapewnił go tamtej nocy Frogalis. Trzymał ciężką dłoń na ramieniu kompana. Oczy miał spokojne, choć błyszczące po alkoholu. - Szyba to mój rozrusznik ducha.

Szyba wylądowała za wzgórzami. Powłoka przybrała kolor popiołu. Trzydziestu żołnierzy dopinało stroje ochronne, poprawiało broń; nikt się nie odzywał.
- Żeby mi się żaden nie dał zabić! - zawołał kapitan, dopinając magazynek do karabinu. - Spidy to cholerne skurwysyny, ale to tylko Spidy. Macie broń, macie spowalniacze, ogłuszacze, cały zestaw Kosmicznego Lotnictwa. Jesteście Komandosami, do których modlą się ludzie w Strefach i na wahadłowcach. W bazach matki pocieszają wami dzieci. - Skrab słuchał słów kapitana i nie mógł się nadziwić jemu niesłabnącemu entuzjazmowi. - Nie spierdolcie tego!
Grupka wyszła na zewnątrz zwartym szykiem. Kapitan z przodu, w czołówce; to nigdy się nie miało zmienić. Wiecznie młody duchem, mimo upływu lat. Porucznik Skrab z tyłu. Zwiększył ostrość widzenia w okularach ochronnych. Gdyby nie to urządzonko, już dawno musiałby odejść ze służby. Nie wiedział tylko, co wykażą kolejne badania kontrolne. Może to mój ostatni wylot? Może osiądę na stałe w Strefie, co dzień będę cieszył się Paulą i dzieciakami? Zabiorę ich na wahadłowiec albo wykupię mieszkanie w bazie gdzieś na Marsie czy innej podróbce Ziemi - rozmyślał Skrab, biegnąc od ściany do ściany i wypatrując Spidów.
Tak, kapitan miał rację - Spidy to cholerne skurwysyny. Powykrzywiane chorobą popromienną kreatury, ledwo mogące ruszać kończynami. Patrzysz na takiego łysego, poparzonego stworka, leżącego bezwładnie na chodniku, współczujesz mu, chcesz pomóc, a ten kutas dostaje przyspieszenia i zagryza ciebie i twoich kompanów. Ciągła powolność, bezruch, w zamian za momenty prędkości, które pozwalają w ciągu kilku minut pokonać dzielnicę miasta.
Terroryści używali ich jako broni. Unieruchamiali stado Spidów, ładowali je na statki i wywozili na Ziemię. Kreatury były odporne na promieniowanie, a przyspieszenie umożliwiało niszczenie powłok ochronnych Stref.
- Jest! - syknął kapitan, wciskając przycisk spowalniacza. Skrabowi zatkało uszy. Dostrzegł obdartą ze skóry karykaturę człowieka, zawieszoną kilka metrów nad ziemią. Spid opadał na jednego z żołnierzy; wyglądało to jak film puszczony na zwolnionym tempie. Niczym jesienny liść! - przemknęło Skrabowi przez głowę. Liście widział tylko na filmach sprzed Trzeciej Wojny Światowej. Żołnierz z lewej przymierzył się do strzału; tułów pozbawiony głowy upadł na asfalt. Trójka z prawej rzuciła granaty ogłuszające daleko przed siebie.
Huknęło.
Kilkanaście Spidów wypełzło z budynku; przypominały przetrącone, wielkie żaby. Z trudem stawiały kończyny i przewracały się co kilka kroków. Frogalis i kilku innych położyli je ostatecznie.
To kiedyś byli ludzie - pomyślał Skrab. Nie oddał ani jednego strzału. Lufę karabinu miał uniesioną, broń odbezpieczoną, palec na spuście - ale w duchu liczył, że nie będzie musiał strzelać. Dawniej to byli ludzie, którzy chodzili po powierzchni planety i budowali kolejną Bazę dla siebie i swoich rodzin. Tyle planet, przystosowanych do życia ludzi, tyle zmienionych atmosfer i ekosystemów, żeby tylko odciążyć Ziemię... I banda popaprańców, którzy rozpętali kolejną Wielką Wojnę. Zaczęli od Ziemi, ale pociski docierały na kolejne planety - gdziekolwiek żyli ludzie. Po co?

- Uważaj! - Żołnierz z lewej odepchnął Skraba na bok i strzelił do skaczącego Spida. Granaty ogłuszające posypały się we wszystkie strony; znów to nieprzyjemne uczucie w uszach, kiedy rozsyłano kolejne fale spowalniaczy. Porucznik przeturlał się przez ramię i został w pozycji pół-klęczącej. Pochwycił spojrzenie kapitana. Żołnierze strzelali. Spidy wychodziły z budynków, czołgały się w kierunku ludzi.
To kiedyś byli ludzie, to byli ludzie! - krzyczało w głowie Skraba. Nie mógł się poruszyć, nie chciał wstawać, nie strzelał. Tkwił jak bezużyteczny posąg, gapiąc się na obdartych ze skóry kukło-ludzi. Kapitan wykrzykiwał polecenia, które słyszeli i bez radiowych połączeń strojów ochronnych. Skrab mógł się założyć, że przed wyjściem każdy z trzydziestu żołnierzy ściszył głośność, żeby nie ogłuchnąć. Ludzie rozstawiali miny-pułapki; po ich aktywacji Spidy kręciły się w kółko, bez przyspieszenia nie mogąc pokonać pola siłowego.
Strzał w głowę, w tułów, w kończyny - żołnierze mierzyli z broni, naciskali na spusty i uśmiechali się. Matki opowiadają o nas historie, pocieszają dzieci - myślał porucznik, wciąż klęcząc. Wielcy Komandosi, chluba Ziemi i Baz. Ostoja spokoju, gwarancja bezpieczeństwa. Zabijamy pozostałości po Trzeciej Wojnie Światowej - zabijamy coś, co kiedyś było żywymi ludźmi. Któregoś dnia wrócimy do swojej Strefy i znajdziemy martwe rodziny lub stada Spidów, polujące na ludzi. Pod obdartą skórą nie rozpoznamy swoich napromieniowanych żon i braci. I będziemy do nich strzelać. Będziemy zabijać.

- Wypaliłeś się - stwierdził kapitan Frogalis. - Weź urlop.
Porucznik leżał na pryczy. Szyba, ich statek, zastępczy dom, zmierzała w kierunku Ziemi.
- I tak nie przejdę badań wzroku. - Poprawił się na posłaniu. - Robię się ślepy jak królik. Jeszcze trochę i wspomaganie gogli przy wyjściach mi nie wystarczy.
Kapitan siedział na krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami, dłonie trzymał na brzuchu. Wpatrywał się w czubek czarnego buta.
- Masz dość, prawda? - rzucił.
Skrab spojrzał w stalowoszare oczy kapitana. Oglądał jego siwe włosy i zmarszczki na twarzy. Mundur, nieco wytarty na udach, i górną część butów poznaczoną krechami. Przyjrzał się swoim własnym dłoniom: popękanej skórze i bliznom po skaleczeniach. Zerknął na podstawkę z imitacją jedzenia - papki i tabletki. Mała klitka, udająca pokój. Kilkumiesięczne loty w kosmos, w poszukiwaniu gniazd Spidów na innych planetach i ich księżycach. Poszukiwanie Baz terrorystów i ochrona wahadłowców, krążących w przestrzeni. Zabijanie.
Tak, miał dość. Miał dość siebie i Szyby, dość sztucznie wytwarzanego tlenu i wody. Nie mógł już patrzeć na twarze żołnierzy, których znał od lat. On i kapitan byli najstarsi na Szybie - jako jedyni mogli używać swoich stopni wojskowych. W trakcie wojny i po niej żołnierze bardzo szybko awansowali - zaroiło się od poruczników, kapitanów, majorów, pułkowników; prawdziwy wysyp oficerów. Kilka lat temu wydano ustawę, która pozwalała zachować stopnie oficerom, którzy zostali mianowani dowódcami. Frogalis był dowódcą Szyby, Skrab jego zastępcą.
- Nie wiem nawet, czy będą na mnie czekali, kiedy wrócę do domu - mruknął porucznik. - Czy będą żyli, czy będą zdrowi. Czy jakiś dupowaty mieszaniec nie zrzuci na nasze osiedle bomby, nie rozsypie stada Spidów przy granicy Strefy, żeby zniszczyć pole siłowe. Nie mam pojęcia, czy żona mnie nie zostawi, bo będzie miała ochotę na mężczyznę, który ma czas spędzać z nią każdy dzień, a nie kilka miesięcy w roku. A dzieci? One nie mają ojca, Frank, nie mają ojca...
Skrab widział, jak kapitan się w niego wpatruje. Był pewien, że tamten miał ochotę położyć mu dłoń na ramieniu i wypowiedzieć kilka słów pocieszenia, jakieś farmazony o służbie i poświęceniu się dla ludzkości. Nie zrobił tego jednak. Obaj wiedzieli, że czasem lepiej jest milczeć i zobaczyć w czyichś oczach bratnią duszę.

John Mill kontrolował przewody na Wahadłowcu Piątym. Siedział właśnie na stołku i grzebał w instalacji

odpowiedzialnej za wodę w sektorze dziesiątym. Nie znosił swojej pracy. Wolał leżeć w łóżku i tulić się do Susan.
- Szlag! - mruknął, zamykając klapę. - Wahadłowce. Masa roboty, żeby te złomy utrzymać w stanie używalności.
Tkwił tutaj od urodzenia - tylko kilka razy jego noga stanęła na powierzchni planety. Rzygał tym miejscem. Czasem zastanawiał się nad ucieczką kapsułą ratunkową. Gdziekolwiek. Nie musi być żadna ze Stref. Zresztą i tak niewiele ich zostało. Wystarczyłoby wylądować gdzieś na pustkowiu, wśród popękanej ziemi, nawdychać się skażonego powietrza, dotknąć radioaktywnej gleby, otrzeć się o promieniujące skały - i umrzeć.
- Kochanie, wrócisz dzisiaj do pokoju? - Susan zaszła go od tyłu i objęła ramionami. No tak, jest jeszcze ona, jego kobieta. Jedyny powód, dla którego nie spieprzył stąd, gdy tylko miał okazję. Znał wahadłowiec jak własną skrzynkę z narzędziami, nie stanowiło dla niego problemu zaplanowanie ucieczki. Nie potrafił jednak zostawić Susan; nie mógł także zabrać jej ze sobą. Ani na skażone tereny, ani do Strefy. Susan przeniosła się z Ziemi kilka lat temu, zaraz po rozwodzie. Jej były mąż - Komandos, kapitan jednego ze statków, spędzał całe lata poza domem, aż stał się dla niej obcym człowiekiem.
- Wrócę, kotuś, oczywiście, że wrócę. - Pocałował ją delikatnie, uśmiechając się. - Daj mi kilka chwil, dobrze?
Przyglądał się jej krągłym biodrom i wąskiej talii. Blond włosy opadały na plecy - kuracje, które sponsorowało wojsko dla rodzin swoich żołnierzy, pozwoliły jej zachować kobiecy wygląd i zdrowie. Sam John chodził skrzywiony w jedną stronę i prawie całkiem wyłysiał. Sztuczne zęby wyglądały prawie jak prawdziwe. Prawie.
Susan ruszyła korytarzem, kręcąc zalotnie tyłkiem. Nie mogę z nią uciec na Ziemię, nie mogę jej zostawić, nie mogę zostać tutaj. Co robić? Miał jeszcze jedno wyjście - rozważenie propozycji, którą ktoś złożył mu dwa tygodnie wcześniej. Mill podrapał się po czaszce. - Przyjąć ich ofertę? - pytał sam siebie po raz kolejny.
Tamtego dnia miał zmianę przy radioodbiorniku. Słuchał wiadomości z Ziemi, z Baz; ogłoszeń i przestróg.
- Szukamy chętnych. - Głos z głośnika, z dziwnym akcentem. - Szukamy chętnych.
Może to akcja propagandowa do zaludniania nowych terenów? - pomyślał John. - A może nabór do szkoły wojskowej? Do wojska się nie nadawał; nie miał jednak nic przeciwko wyrwaniu się stąd i założenia domu na jakiejś planecie czy księżycu. Lepsze to niż gnicie w tej przerośniętej puszce jak sardynka. Wśród setek innych sardynek, udających ludzi.
- Tak? - rzucił do mikrofonu. - Chętnych do czego?
- Chętnych do uwolnienia ludzi z wahadłowców.
- Uwolnienia?
- Uwolnienia spod starych rządów, uwolnienia z zamknięcia, wyjście na zewnątrz - tłumaczył głos. - Nie masz dość tego pudła dryfującego przez przestrzeń? Niby-tlenu, niby-wody, pseudojedzenia?
Jakby mi to z głowy wyjął - pomyślał John, oglądając się przez ramię, czy nikt nie wszedł. Wstał i zamknął drzwi.
- Tak, oczywiście, że mam. Każdy tutaj ma. - John Mill kłamał i zdawał sobie z tego sprawę. Byli tutaj ludzie, którzy nie wyobrażali sobie życia gdzie indziej i gdyby tylko zaproponować im odnowioną Ziemię: z zieloną trawą, drzewami, zwierzętami, czystym powietrzem i krystaliczną wodą - parsknęliby śmiechem i wrócili do metalowej puszki.
- No widzisz. A my mamy na to sposób.
- My? Jacy my? - John ściskał mikrofon, mówiąc prawie szeptem.
- Partia Odnowienia. Partia Nowej Ziemi.
Przez kolejny kwadrans głos tłumaczył mu plany Partii i miejsce Johna w całym zamyśle. Dostał

instrukcje co i kiedy zrobić.
Dzisiejszy wieczór był ostatecznym terminem podjęcia decyzji. Zrobi to lub nie - radiowy głos nie mógł go skrzywdzić, najwyżej przy kolejnej zmianie przy radioodbiorniku usłyszy stek wyzwisk i narzekań.
Szansa, wielka szansa - myślał Mill, kierując się do swojego sektora. Największa szansa życia dla niego, dla jego kobiety, dla innych mieszkańców. Jedna, jedyna. I właśnie na jego głowie spoczywa podjęcie decyzji. Jeśli tego nie zrobi - będą nadal gnić w tym pudle, dryfować i udawać życie. Jeśli się odważy, jeśli pozwoli Partii na przejęcie Wahadłowca Piątego, pozwoli ludziom na osiedlenie się na zielonej planecie, na rozpoczęcie nowego życia. To takie proste - wyłączy na minutę urządzenie maskująco-zakłócające, pokażą się Wszechświatowi i jego mieszkańcom, na chwilkę wyjdą z ukrycia, przestaną być niewidzialni. Namierzą ich statki Partii Odnowienia, przylecą tutaj i zaholują w nowe miejsce.
Chyba że to rebelianci. Cholerni mieszańcy. Pieprzeni terroryści, usiłujący pozbyć się ludzi i przejąć wszystkie planety dla siebie. Skrzyżowanie ludzi i Nowej Rasy, która wymknęła się naukowcom spod kontroli. Usiłowali ulepszyć gatunek ludzki poprzez modyfikacje genetyczne. Prawie im się udało - nie przewidzieli tylko, że Nowi Ludzie, nowa super rasa, będą postrzegali zwyczajnych ludzi jako gorszą kategorię. I będą dążyć do ich zniszczenia. Rozpętali Trzecią Wojnę Światową, a teraz usiłują zmazać resztki ludzkości z map Wszechświata.
Ryzyko było wielkie. Tylko po co terrorystom takie sposoby? Mogą umieścić wtykę we wnętrzu, przekupić kogoś, i zniszczyć wahadłowiec od środka. Mogą bombardować Ziemię i przestrzeń wokół aż do skutku. Jak w starej grze w statki. Jak w loterii - trafię, nie trafię.
Głos w radio mówił i mówił, powtarzał się za każdym razem, kiedy John wpisywał swój kod aktywacyjny do radioodbiornika. Tłumaczył. I John był coraz pewniejszy, że postąpi słusznie. Pójdzie wieczorem na obchód, sprawdzi zabezpieczenia, kontrolki, dojdzie do głównego komputera i na chwilę wyłączy maskowanie. To takie proste. A kilka dni później - wolność, ziemia, woda, powietrze. Prawdziwe jedzenie. W końcu posmakuje prawdziwego jedzenia. To na Ziemi, którego próbował, nie smakowało najlepiej. Ziemia była skażona, nie ma co zbyt wiele oczekiwać.
W korytarzu minął swojego zmiennika - Eda Trogalisa. Skinęli sobie głowami na przywitanie. Dlaczego nie dali takiego wyboru jemu? Dlaczego padło na mnie? - głowił się John.
Wszedł do pokoju i wślizgnął się do łóżka. Trójka bachorów z poprzedniego związku Susan siedziała w innym pomieszczeniu. Bawili się wychudzonym kotem, który lada dzień zdechnie. Nie lubił tych podróbek zwierząt z probówki. Nie znosił też dzieci. Susan mruczała cicho, gdy pieścił jej piersi.

Wyglądała przez okno, zastanawiając się, po co w ogóle żyje. Bloki, bliźniaczo do siebie podobne, przypominały pudełka zapałek; ustawione jeden za drugim, ciągnęły się kilometrami. Szare budynki, tysiące ludzi. Przestrzeń otoczona polem ochronnym. Granica promieniowania. Dwudziesta Pierwsza Strefa. Ile ich było razem? Dwadzieścia pięć?
- Po co ja żyję? - pytała samą siebie, opierając czoło o szybę. Sterylny dom, komory odkażające, będące jednocześnie windami, popękane chodniki i ulice, skuterki unoszące się nad ziemią, ludzie, którzy prawie nie wychodzili z domów. Z bloków. Z osiedli. Nie było gdzie i czym się upić. Niektórzy robili alkohol w domu - jedyne co udawało im się uzyskać, to nie całkiem bezpieczny spirytus. Nie było rozrywek, klubów, sklepów. Wszystko dostarczane do mieszkań, co tylko zechcesz z tego, co jest dostępne.
- Mamo? - Czteroletnia dziewczynka stanęła w progu; do piersi przyciskała pluszowego misia. - Mamusiu?
Tak, to był jeden z powodów, żeby żyć. Drugi siedział w pokoju obok przed telewizorem. Trzeci... Trzeci blaknął coraz bardziej. Był daleko. Jeden z aniołów stróżów Ziemi. Komandos. Żołnierz, tłukący się statkiem kosmicznym (jak oni je nazywali? Szybowce Kosmiczne?), dla którego przestrzeń była domem.
- Tak kochanie? - Oderwała czoło od szyby i uśmiechnęła się. Przykucnęła. - Chodź, skarbeczku. - Mała podbiegła do matki.

Paula Skrab tuliła córkę, myśląc o mężu. Tkwił gdzieś w kosmosie, nie dając znaku życia długie tygodnie. Nie była pewna, czy wróci z kolejnej misji. Traktowała go jak ducha, jak wspomnienie, jak dalekiego krewnego, który mieszkał kiedyś z nimi, a teraz przyjeżdża czasem w odwiedziny. Czy go kochała? Kochała wspomnienie o nim, ich młode lata, poznawanie się, czasy, kiedy jeszcze był w domu. Czasy przed awansem i wylotami.

- Kiedy wróci tata? - mała pytała co wieczór o to samo. A Paula nieodmiennie powtarzała:

- Niebawem, kochanie, niebawem. Musisz być cierpliwa.

- Brakuje mi cierpliwości - powtarzała Susan Frogalis przed rozwodem. Odwiedzały się co jakiś czas i podtrzymywały na duchu w trakcie nieobecności mężów. W końcu Susan miała dość i powtarzała to przy każdej okazji. - Ile można czekać? Ile można być samą? Dzieci potrzebują ojca, potrzebują wychowania przez mężczyznę. Kurde, ja potrzebuję mężczyzny!

Trzymała ją za rękę i powtarzała: - Cierpliwości! Przecież to się da wytrzymać, nie jest tak źle. Przyjdzie dzień, kiedy mężowie wrócą do domów i będą przy nas każdego dnia. - To samo powtarzała córce. I z tygodnia na tydzień coraz mniej w to wierzyła.

Wyrwać się z Ziemi, tak jak zrobiła to Susan. Wziąć rozwód, zabrać dzieciaki i osiedlić się na którymś z wahadłowców. Tam nie może być tak ponuro, tam ludzie nie przypominają zombie, siedzących całe dnie w pokojach. Podobno mają tam zwierzęta, żywe zwierzęta, które nie umierają po kilku miesiącach. Bez elektroniczności i silników w brzuchach. Bazy były zbyt niebezpieczne - co chwilę powstawały nowe gniazda Spidów, kiedy jakiś lekkomyślny mieszkaniec oddalił się poza zasięg odkażaczy. Wracał z chorobą popromienną, mutował, zarażał rodzinę, dom, osiedle; stada powykrzywianych kreatur polowały w całym mieście.

Wahadłowiec. Znaleźć się tak blisko niego, jak to tylko możliwe - wejść do środka, poznać ludzi, którzy żyli tam od urodzenia, zacząć nowe życie. Na wahadłowcach było życie, prawdziwe jedzenie, prawdziwa woda, naukowcy pracowali nad poprawieniem bytu mieszkańców. Zapomnieli o Ziemi. Tam, w przestrzeni, dryfowały wielkie statki-arki, niosące nowe życie, czekały tylko na dzień, kiedy będą mogły osiąść na jednej z planet. Po odkażeniu, po wybiciu rebeliantów, kiedy nadejdą lepsze czasy.

Położyła małą spać i wróciła do okna, do wpatrywania się w szarość. Po co ja żyję? Po co ja żyję? Po co? Ech, dostać się do wahadłowca...

Weźmie rozwód z mężem, złoży wniosek o przeniesienie do jednego z wahadłowców, może nawet uda jej się trafić na ten sam, co Susan. Podobno ułożyła sobie tam życie z nowym mężczyzną. Szczęściara. Co dzień ma go przy sobie.

Co na to James? Co powie, kiedy po powrocie z kolejnej misji znajdzie na stole pozew o rozwód? Podpisze, to pewne, że się zgodzi. Rozmawiali o tym kiedyś. Sam jej powtarzał, że jeśli będzie miała dość, jeżeli sytuacja ją przerośnie - może odejść. Starał się być w domu jak najczęściej. Przebąkiwał o rezygnacji, o problemach z oczami, o rencie. Ale to wciąż za mało - niektóre jego służby trwały po pół roku. Miesiąc, dwa w domu - i znowu wylot. W nieznane. Bez określonej daty powrotu. To mógł być miesiąc, mógł być i rok.

Dzieci. Betty i James Jr. To byłby problem. Na wahadłowiec można się było dostać: jeśli przelatywał dostatecznie blisko planety, część mieszkańców z nowym przydziałem wchodziła na pokład, inni lecieli na Ziemię. Niektórzy rezygnowali, pozostali mieli kilka godzin lub dni przepustki. Jeśli Paula przeprowadzi się na jeden z nich, uniemożliwi Jamesowi widzenie dzieci. Czy bardzo byłoby mu z tym ciężko? - pytała sama siebie, pytała szyby przed sobą, pytała szarych ścian za oknem.

Myślała o Betty i małym Jamesie, uwieszonych na szyi ojca. Słyszała w uszach ich śmiech, widziała roześmiane twarze. Przypomniała sobie dumną minę Jamesa, który podnosił dzieci do góry i podziwiał, jak bardzo urosły od jego ostatniej wizyty.

Dotknęła głową szyby. Myśli zniknęły. Tak nazywali swój statek - przypomniała sobie. Szyba. Szybowiec Kosmiczny. Kochanka żołnierzy lotnictwa.

- W papierach wpiszę, że mnie zdradzał - mruknęła z uśmiechem, mimo łez toczących się po policzkach. - Z Szybą.
Miała ochotę rozbić okno i skoczyć, zapomnieć o Betty i małym Jamesie, runąć w szarość (tutaj nigdy nie było całkiem ciemno, nigdy też nie robiło się jasno, tylko ta przeklęta szarówa) i przestać myśleć, przestać czekać. Uniosła głowę, postanawiając, że weźmie rozwód, bo i tak nie czuła, że ma męża. Zabierze dzieciaki ze sobą i polecą na wahadłowiec. Rodziny żołnierzy musiały mieszkać na Ziemi, bo tylko tutaj możliwe było lądowanie Szybowców. I niemożliwe było wyjście poza pole siłowe, tak jak to bywało w Bazach. Zostawi Jamesa samego, ale to jego wybór, służba i misja. Służyć wojsku, zostawiając rodzinę. - Mam swoje życie! - powiedziała do pustego pokoju, szyby i szarości za nią.
Uśmiechnęła się, czując, jak wielki ciężar spada jej z serca. Spojrzała w górę, w szarość górnej powłoki, marząc o nowym życiu. Otworzyła szeroko oczy, widząc wielki kształt, zbliżający się do Ziemi. I drugi, i trzeci... Jaśniały ogniem. Wielkie statki kosmiczne, wielkie arki, które wracały do domu trochę za wcześnie.
Tutaj jeszcze jest skażenie - przemknęło przez głowę Pauli. - Jeszcze nie macie po co lądować. Jeszcze jest za szaro.
Wahadłowce znikały i pojawiały się, migały niczym lampki choinkowe. Skojarzyły jej się z sygnałem SOS. Ratujcie nasz statek, ratujcie nasze dusze. Trzy statki, trzy sygnały. Pole maskujące pojawiało się i znikało. Trzy wielkie cienie zbliżały się do Strefy Dwudziestej Pierwszej.
Chciałam być bliżej nich. - Nachalna myśl. - Doprosiłam się.
Nie była w stanie zobaczyć żadnej twarzy, choć tak wiele osób stało przy lukach i uderzało rękoma w okna. Mieszkańcy biegali po pokładach i cisnęli się do kapsuł ratunkowych.
Paula nie zdąży powiedzieć Susan choćby krótkiego: Cześć! Nie przytuli trójki jej pociech i nie zapyta jak minęły im miesiące na promie. Dotknęła ręką szyby, jakby ten gest mógł zatrzymać spadające wahadłowce i cofnąć czas. Nie wiedziała, że w tym samym momencie podobny gest wykonała Susan - opierała dłoń o kapsułę ratunkową, w której siedziały jej dzieci. Chłopcy tulili siostrę i krzyczeli coś, czego Susan nie słyszała. Płakała. Zza pleców wyłonił się sąsiad z pokoju obok, odepchnął ją i usiłował otworzyć kapsułę. Patrzyła przerażona i zszokowana; kopnęła go z całej siły w kostkę. Syknął z bólu i rzucił się na nią. Jakiś mężczyzna (Mark, miał na imię Mark? - zastanawiała się Susan), chwycił mężczyznę za kołnierz i popchnął na ścianę. Uderzył go w nos; trysnęła krew. Jakaś kobieta biegła korytarzem, trzymając się za rękę. Była wykręcona w dziwny sposób. Połowę twarzy miała poranioną, jakby ktoś po niej przebiegł.
Bo przebiegł - uświadomiła sobie Susan. Kobieta upadła, a ludzie deptali po niej jak po wycieraczce. Spieszyli się do kapsuł, próbowali dobiec do luku, który dałoby się wypchnąć, drzwi, które da się otworzyć. Nie, proszę, nie - błagała Susi w myślach. Nie otwierajcie włazów, bo wypadniemy, wyssie nas na zewnątrz. Rozbijemy się o ziemię i skażenie nas zeżre. Przestańcie! - Poruszała bezgłośnie ustami, poruszając się na klęczkach w kierunku kapsuły. Chciała zobaczyć dzieci jeszcze raz, przypilnować, żeby kolejny szalony pasażer nie próbował zająć ich miejsca. Nie zdążyła.
Paula Skrab szlochała, wpatrzona w wielkie obiekty, które właśnie zderzyły się z powłoką ochronną Strefy. Posypały się iskry, buchnął ogień; blokiem zatrzęsło. Fala uderzeniowa rozsadziła okna zewnętrzne. Paula zamknęła oczy ze strachu przed odłamkami. Szyba przed nią pozostała jednak cała; specjalne tworzywo ochronne zdało egzamin. Spod jednego z wahadłowców wystrzeliły kapsuły ratunkowe. Małe stateczki - niektóre mogły pomieścić tylko jednego dorosłego, inne kilkanaście osób - poleciały w stronę Ziemi. Paula otworzyła usta i kręciła głową: - Nie, nie, zawróćcie! - krzyknęła. Kapsuły zatoczyły krąg, przygotowując się do lądowania.
Nad blokowiskiem zajaśniało. W końcu jest jasno - pomyślała Paula. Pojazdy przy zderzeniu z wewnętrznym polem siłowym zamieniały się w kule ognia. Duża kapsuła odbiła się od pola ochronnego i wpadła na dwie mniejsze. Kolejna ześlizgnęła się po powłoce, znacząc ją ogniem, niczym gigantyczny

metalowy ślimak, który zamiast śluzu ma żar. Dziesiątki kapsuł uderzały w powłokę, płonęły, odbijały się i wracały w kierunku statku-matki. Część eksplodowała od razu, inne dopiero, kiedy zetknęły się z powierzchnią wahadłowca.
Promy przedarły się przez pole zewnętrzne Strefy. Z kolejnego wahadłowca wystrzeliły kapsuły: spora część z nich eksplodowała przy uderzeniu w prom poniżej, pozostałe rozbiły się o pole wewnętrzne. Arka dotknęła powłoki i przedostała się przez nią z głośnym trzaskiem. Pauli przypominało to darcie materiału - wielkie prześcieradło, przedzierane na pół. Kolejna porcja kapsuł runęła w kierunku Ziemi, kręcąc szalone młynki. Część z nich bez przeszkód zbliżyła się do powierzchni, lądując w miarę bezpiecznie; większość jednak zamieniła się w pociski rujnujące osiedle.
Paula nie miała pojęcia, że w blok obok uderzyła kapsuła z trójką dzieci Susan i Franka Frogalis. Nie wiedziała, czy zemdleli podczas lotu, czy patrzyli cały czas przerażonym wzrokiem i zginęli dopiero w eksplozji.
Statki zbliżały się do Ziemi, lada chwila zderzą się z powierzchnią: spadną na osiedla i pogrzebią mieszkańców. Naruszyły pola ochronne - skażenie wedrze się między budynki i dokończy dzieła. Pierwszy z wahadłowców zetknął się z blokami na zachodzie. Runęły niczym zbudowane z zapałek.
Ostatnim, który naruszył powłokę ochronną, był Wahadłowiec Piąty. Susan leżała już wtedy przy drzwiach pokoju z przetrąconym karkiem. Chwilę przed spotkaniem z Edem Trogalisem myślała o dzieciach, które wylądują na Ziemi i trafią pod opieką Pauli. Zanosiła modły do wszelkich bóstw o opiekę nad nimi. Właśnie wstawała z podłogi, kiedy wielki mężczyzna chwycił ją za głowę i cisnął na ścianę, jak szmacianą lalkę. Nie poznała w nim kolegi męża z pracy. Ed zapakował żonę i dzieci do kapsuły, a teraz biegał jak oszalały i szukał ratunku dla siebie. Przepychał się, uderzał ludzi, nie zdawał sobie sprawy, że zabił Susan.
Paula słyszała płacz dzieci. Betty wbiegła do pokoju, chcąc przytulić matkę. Kolejny wstrząs spowodował, że wywróciła się na brzuch. Paula stała twarzą do okna. Tkwiła tam jak sparaliżowana. Nie zdawała sobie sprawy, że mały James podnosi siostrę i tuli ją do siebie. Myślała tylko o tym, że jeszcze kilka chwil wcześniej miała ochotę znaleźć się na pokładzie jednego z wahadłowców i poznać żyjących na nim ludzi. Stać się jedną z nich. Chciała uciec z Ziemi: od męża, którego tak naprawdę nie miała, i szarości, która wdzierała się do serca. A teraz... Nie pozna żadnego z mieszkańców wahadłowców. Nie pozna mężczyzn i kobiet, ich dzieci i zwierząt, które żyły dłużej niż kilka miesięcy lub do czasu wyczerpania akumulatorów.
Nie pozna nigdy Johna Milla, jednej z kilku osób, namawianych przez Partię Odnowienia do ujawnienia położenia wahadłowców. Nigdy nie będzie miała okazji zapytać, czy to on wyłączył urządzenia ochronne, czy ubiegł go ktoś inny. Nie obwini go o fakt, że jako jeden z pierwszych wsiadł do kapsuły ratunkowej, nie myśląc o swojej kobiecie i jej dzieciach. Nie zapyta też pozostałych ludzi, o czym myśleli, słuchając obietnic rebeliantów. Nikt jej nie powie, czy czuli się wtykami mieszańców.

Nie zastanawiała się ile ogromnych statków spadało na Ziemię, ile Stref przestanie istnieć, ilu ludzi zmęczonych zamknięciem popełniło błąd i dało się nabrać na puste obietnice.
Miała uciec na wahadłowiec, ale to on przyleciał do niej.
Jasna noc - pomyślała. Zbyt jasna. Nie ma takich na Ziemi. Ostatnia noc...
- Aniele Boży, Stróżu mój... - szeptała Paula.
Komandosi byli daleko.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DamianMorfeusz, dodano 22.02.2009 22:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.